



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 364



WOJNA

W KRÓLESTWIE POLSKIM

**WYCIEZKA SAMOCHODEM
PO TERENIE WALK**

- 30

364

leg. 164.

WOJNA W KRÓLESTWIE

WYCIECZKA SAMOCHODEM
PO TERENIE WALK



ODBITO W DRUKARNI „CZASU“ W KRAKOWIE
1915.

Osobne odbicie z »Czasu«. — Nakładem Wydawnictwa.

Miasteczko polskie w wojnie.

Szosa michałowicka. — Wsi podkrakowskie. — Tam gdzie była komora. — Podziemne miasta. — W drodze. — A ludzie? — Wspomnienie z plant. — Nasze i nie nasze. — Co się działo w Słomnikach. — Przemarsze — Wśród potyczek.

Mglistem nieco, lecz jeszcze jasnym po południem wyjeżdżaliśmy z Krakowa. Papier niebieski i drugi bardziej tajemniczy i potężniejszy: biały otwarł przed nami zapory z drutu koleczastego, które przecinają drogę do twierdzy krakowskiej. Jeden i drugi postój, badanie legitymacyj, potem krótkie: *Passirt!* i samochód rusza dalej, terkocząc, jak gdyby zrzędził, iż każe mu się brnąć w takim błocie. Na prawo i na lewo bryzgają żółtawe smugi z pod kół, torując sobie drogę przez lepłą masę. Kraków zostaje za nami, jedziemy ku terenowi walk.

Wojna była już z tej strony blisko, bardzo blisko. Opowiadał nam o niej przed kilku tygodniami huk dział, które broniły atakowi rosyjskiemu podsunięcia się za natrętnie pod fortecę.

Dzienniki pisały wtedy o ofenzywie rosyjskiej od strony Kielc. Przygotowania do jej odparcia, poczynione już znacznie wcześniej, są pierwszymi śladami wojny, jakie spotyka się po drodze ku Michałowicom.

Znamy już ślady takie z drogi, jaką odbywaliśmy do Wieliczki po ustąpieniu stamtąd wojsk rosyjskich. Ale tutaj przedstawiają się groźniej. Były i tam poburzone domy, wycięte drzewa, kominy sterczące z pośród zwałonych płotów, lecz wszystko to przypominało jeszcze szczątkami to, co musiało zniknąć. Tutaj wrażenie zgoła odmienne. Po całych wsiach nie zostało nic. Chyba pompy studzienne, czerniące się na świeżym śniegu, nasuwają myśl, że to puste miejsce było jeszcze niedawno siedzibą ludzką, że tutaj pokolenia uprawiały ziemię i kładły się w niej, po trudzie życia, na odpoczynek wieczny. Tak znikły Węgrzce, gdzie ostatnie dni spędzał w tragicznej agonii Stanisław Wyspiański, tak znikły inne. Wojna wyczyściła tę ziemię żelazną miotłą. Konieczność obrony twierdzy przeszła do porządku dziennego nad ludźmi i zagrodami. Tak być musiało i tak się stało.

Gdzie ludzie, którzy tutaj mieszkali? Przypomniał mi się wieczór jesienny z przed miesiący. Na ulicy Basztowej stał wóz, z którego sterczały skrzynie, pierzyny, przyodzienie. Przy koniach gospodarz, z batem w rękę, jak gdyby jechał na jarmark, obok niego żona i czworo

dzieci. Najmłodsze bawiło się koło ogrodzenia plantacyj, chłopak kilkuletni targał pieśczołtliwie za uszy kundla, najprawdziwszego Burka, który filozoficznie rozglądał się dokoła, pilnując wozu z taką samą czujnością, z jaką strzegł chałupy. Gromadka ludzi skupiła się przy tej karawanie.

— Wy skąd ?

— Z Węgrzec.

— Dokąd jedziecie ?

Gospodarz zamilkł. Odpowiedziała żona :

— Zobaczmy. Trza jechać. Dom zburzony.

Ludzie poszli w świat. Ziemia, którą orali, doczekała się innej uprawy. Rozglądamy się dokoła i widzimy, że miejsce wsi, która znikła, zastało podziemne miasto. Jak okiem sięgnąć, snuje się sieć pajęcza rowów i przekopów. Kręte uliczki ryte w glebie, prowadzą do schowków i zakrywek. Można rozróżnić główne arterye, od których rozgałęziają się przecznice, każda wyjściem prowadzi do schowania podziemnego. Niektóre nasypy wznoszą się wyżej ponad ziemię, wyglądają jak inspekty ze skośnemi oknami ku słońcu. Ta ma chować się wojna, dzisiejsza wojna, która pełza przy ziemi, gdzie może chować się pod ziemię i może dla tego sunie naprzód tak powoli, krok za krokiem. Niełatwo poznać tę okolicę.

Szośa michałowicka była jedną z najpiękniejszych alei topolowych w tej części Polski. Ko-

nary oceniały drogę, grube pnie wyznaczały ją co parę kroków. Zналиśmy ją, tyle razy powóz nasz sunął tędy w piękne dni lata, ku znajomym wsiom w Królestwie. Teraz przypomina się nam, jak dawny przyjaciel, który ogolił zarost: inna twarz, inny wyraz, inny człowiek. Musimy minąć dopiero słup graniczny rosyjski, aby przypomnieć sobie, że to ta sama droga, którą jechaliśmy tyle razy. Wojna przemazała granicę. Z komory rosyjskiej zostały gruzy, nie lepiej poszło austriackiej. Pustka, rozsypane cegły, komin sterczący, jak maszt zatopionego statku, który osiadł na dnie. Fala klęski poszła wysoko i przykryła tę ziemię. A tu jeszcze walk nie było, dopiero przygotowania.

Wojnę spotkamy dalej, w Królestwie, do którego zagłębiamy się wśród trzasku motoru, pracującego całą siłą. Niema granicy, niema komory. Przyszły takie czasy, że paszportem stał się karabin, a za tysiące fur ze zbożem, mąką i mięsem opłaca się cło dalej, w głębi kraju, wybuchami szrapneli. Ta Polska, oddalona o parę mil od swego serca: od Krakowa, jest „krajem nieprzyjacielskim“. Zniknął kordon graniczny, ale nigdy nie widzieliśmy go tak wyraźnie wzrokiem wewnętrznym. Zastłaniała go nam jedność ducha, poczucie, że naród jest rozerwany tylko politycznie, ale *spiritus flat ubi vult*, więc i nad dachy komór celnych. Teraz zdobywamy te nasze miasta i tracimy je, aby znów zdobyć, a

nim zdobędziemy ostatecznie, są naprzemian „przyjacielskie“ i „nieprzyjacielskie“ nasze i nie nasze, bo pękła tętnica kultury i podwiąże ją dopiero pokój.

Niema już nawet tego pierwszego podziału, jaki jedynie może czuliśmy w każdej chwili, podziału na kraj swobody i kraj ucisku. Jest tylko teren wojny, rodzaj *res nullius*, coś, co jest dzisiaj w posiadaniu jednych, jutro drugich, ale tylko w posiadaniu; własnością będzie dopiero po wojnie.

Jesteśmy pewni, że i my wrócimy do jego własności; nietylko duchowej, jaką mieliśmy zawsze, ale zdobędziemy materialną. W to wierzymy, tem żyjemy.

* * *

Droga do Słomnik, które mają być pierwszym naszym postojem, wije się serpentynami. Mrok zapada szybko, mgły snują się nad polami, nie spotykamy prawie nikogo, czasem zaskrzypią koła furmanki, lub ukaże się koło drogi żołnierz z bagnietem na lufie, zatulony w szary płaszcz przed zimnem, które wnika natrętnie pod odzienie. Pustka, chałupy przydrożne zwalone lub opuszczone, ani światelka w oknach, ani twarzy ludzkiej przed drzwiami, Mijamy je szybko, z oczyma utkwionymi w przestrzeń, szukając śladu życia.

Na przednim siedzeniu samochodu czuwa nad wolantem przewodnik nasz i opiekun, porucznik Henryk Uziembło. Zaraz z początku wojny opuścił swe blejtramy dla samochodu, którym przemierza teren wojny wszereż i wzdłuż jako członek korpusu automobilowego. Teraz ma w rękę losy naszej improwizowanej kwatery prasowej, ale między śledzeniem „szybkomierza“, a unikaniem kamieni, czyhających na pneumatyki, ma zawsze dość czasu na rzucenie po pejzażem okiem malarza, które automatycznie niejako notuje w pamięci każde wrażenie. Techniczne uwagi do szofera dość oryginalne krzyżują się w tej podróży ze spostrzeżeniami o „walorach“ i „harmoniach“, rzucanemi ku towarzyszącej przechadzkę po Pałacu Sztuki, których wojna tak niespodziewanie uczyniła towarzyszami podróży po placu boju.

Tym razem opiekun nasz nie zastanawia się ani nad falistą linią wzgórz, ograniczających horyzont, ani nie zwraca uwagi naszej na koronkowy rysunek gałęzi, przez które przegląda ledwie z za chmur widzialny księżyc. Wskazuje milcząc na drogę. Czernieje tam jakaś niekształtna masa: zewłok koński. Nogi sztywne i wyciągnięte, oczy zagasłe.

Taki jest koniec gniadosza, który chodził może w fornalcę dworskiej, może dostępował czasem zaszczytu faetonu, rżał wesoło, zwożąc sno-

py, lub zajeżdżał przed kościół z państwem na mszę niedzielną.

Błysnęły światelka na horyzoncie, witamy je z ulgą, niemal z radością, że nakoniec przyjdzie coś żywego, ukaze się twarz ludzka. Posterunek przepuszcza bez zatrzymania, oto i rynek. Mamy przed sobą małe miasteczko, z normalnem w Królestwie błotem, normalnymi wybojami, krzywymi trochę domkami i z kościołem o dwóch wieżach. Ale ludność zmieniona zupełnie. Wszędzie szare mundury, chlupiący krok ciężkich butów, mundury migają z za szyb, broń połyska pod nielicznymi latarniami. Trzeba zajechać pod dach. Wypytujemy się nawzajem, czy ma kto znajomych? Okazuje się, że krakowscy krewni ziemian z okolicy prosili dowiedzieć się o los swych bliskich. Trzeba zacząć poszukiwania.

Wienćzy je rezultat. Nie mija kwadrans, a rozkutani z futer słuchamy w ciepłym pokoju opowiadań i żali. Słomniki były na linii bojowej, były w ogniu. Los ich jest losem wszystkich miasteczek polskich, jakie ogarnęła wojna. Nie tak może był groźny, jak wielu innych, które służyły za cel granatom, ale mieszkańcy wiedzą o wojnie wiele. Zdobyli doświadczenia i dzielą się z nami.

— Coż więc było?

Wycofanie się wojsk rosyjskich, przybycie strzelców ciągnących ku Kielcom, potem marsze

i przemarsze, posuwania się wprzód i w tył, wszelkie manewry, o których celu nikt nie wiedział. Mundury zmieniały się w oczach. Z rosyjskich zrobiły się austriackie, pruskie, potem znów rosyjskie, potem znów austriackie. Istna tęcza: niebieskawo-szare płaszcze Austriaków, ciemniejsze i zielonkawe pruskie, bure szynele Rosyan, koloru świeżo rozmiętej gliny, czerwoni huzarzy, czarni Czerkiesi w długich, włocha-tych burkach. Mieszczanie zapamiętali jedno przede wszystkim: każdy mundur chciał jeść, bez względu na barwę, chociaż nie każdy jednak objawiał swój głód. Wojska austriackie zaopatrzone były stanowczo najlepiej, to „wojska magnackie“ jak wyraża się nasza gospodyni. Mają ze sobą kuchnie polowe, biją bydło, pieką chleb, żyją dobrze. A oficerowie starają się o żołnierzy tak, że każdy widzi odrazu. Gdy kuchnie polowe staną, oficer przypatruje się gotowaniu, pilnuje sam, dba o to, aby żołnierz zjadł, nim wyspi się do nowych trudów. W wojsku rosyjskiem które widziały Słomniki, było inaczej. Żołnierz nie czuł nad sobą takiej opieki, skarżył się nieraz głośno na to i utyskiwał.

Ale wojna, sama wojna? Czem jest dla ludności?

Powiedziały nam o tem twarze, nim otwarły się usta. Teraz zaczynamy słuchać opowieści o tem, jak wygląda wojna w małym polskim mieście.

Wśród marszów i strzałów.

Czem jest wojna? — Życie mieszczanina. — Przez lornetkę. — Kozacy na rynku! — Strzały w mieście. — Wsi dokoła. — Co dalej?

Czem więc jest wojna dla miasteczka polskiego, takiego, jak Słomniki?

Przedewszystkiem biernością, smutną i bezradną. Dokoła dzieje się tysiące zdarzeń, na które nie mają ludzie żadnego wpływu, są ich widzami, przedmiotem, często ofiarą. Mieszczanin słomnicki budzi się pewnego poranku, bo armaty buczą już zupełnie blisko. Ubiera się i wychodzi — broń Boże nie na rynek, nad którym fruwały pociski, lecz na strych, bo stamtąd widać dość daleko i przez lornetkę, która została się w domu z dawnych lepszych czasów, można dopatrzeć się obłoczków dymu, czasem nawet wąskich paseczków, które mają być podobno szeregami ludzi, zakopanych w ziemię. Od czasu do czasu zaryje się coś w grunt nieco bliżej i tryśnie fontanna ziemi. Wtedy okazuje się, że piwnica jest jednak miejscem najstosowniejszem do dalszych reflek-

syj. Cała rodzina zstępuje w dół, po ciemnych schodach znosi stołki, stoły, dzbany z wodą, kawałki chleba, a czasem kilofy i młoty, kto ma, aby w razie zasypania przez gruzy wydobyć się jakoś na światło dzienne.

Tak mijają pierwsze wrażenia. Ludzie przyzwyczajają się powoli. Strychy i piwnice opustoszały, za to rynek znów się zaludnił obserwującymi łuki pocisków nad domami. Zaczyna się dociekanie ze światu i odległości huku, skąd idą granaty i dokąd dążą. Najnowsze zdobycze techniki uprzystępniają się ludziom naocznie. W miasteczku stoi po kilkadziesiąt samochodów, setki ich przebiegają ulice, pędząc niewiedomo skąd i dokąd; w powietrzu unoszą się aeroplany, ptaki wojny. Wkrótce mieszkańcy zaczynają być znawcami. Odróżniają dwupłatowce od jednopłatowców, rosyjskie od pruskich, pruskie od austriackich. Potem już wogóle nie zwracają na nie uwagi, bo za wiele fruwa. Nie odrywają się dla aeroplanu od śniadania.

Czasem wrażenia zaczynają potężnieć. Udział bieroy przechodzi w czynny bez mała. Ot na przykład spożywa się obiad przy kulawym stole, który przetrzymał rekwizycye i nie wywędrował kominem, jak jego towarzysze w dni mroźne, w czasie kwaterunku. Nagle wpada ktoś z sieni.

— Kozacy na rynku!

Mieszczanin wybiega przed dom, ciekawość jest silniejsza od obawy. Zresztą oczekiwali tego,

gdyż właśnie wczoraj odbywał się chwilowy odwrót strategiczny wojsk austriackich i myślano, że wkrótce ukażą się kozacy. W istocie, na rynku, pod słupem latarni, na rogu ulicy od Miechowa, widać grupkę ludzi, otaczających paru kozaków. Jeźdźcy eksplikują coś słuchającym z wielką gestykulacją, lecz wkrótce rozmowa się przerywa, bo z drugiego rogu wpada kilku huzarów. Zatrzymali się, kozacy zrazu ich nie widzą. Jeden z huzarów zdejmuje karabinek, odciąga zatrzask i z całym spokojem zaczyna mierzyć. Ale przeszkadza mu gromadka, otaczająca konie kozackie. Pochyla się na siodle, chwieje łufą w jedną i w drugą stronę, aby nie trafić przypadkiem kogo ciekawego. Nakoniec wymiarkował i pada strzał.

W grupce zakłębiło się. Kilku ludzi upadło na ziemię, ale po to, aby natychmiast podnieść się i ruszyć co siły w nogach do najbliższej bramy. Nikt nie ranny. Chyba jeden z kozaków, który pochylił się na kulbace i targa konia cugłami. Strzał drugi, trzeci, czwarty, potem konie huzarskie galopują przez Rynek i czerwone mundury znikają na drodze. Z kozaków ani śladu. Można wrócić do stołu.

Nie zawsze da się to uskutecznić tak szybko. Oto pewnego dnia, po jednym z wielu marszów i wymarszów, na Rynku znów stoją kozacy. Mają siekiery, ścinają słupy telegraficzne i obalają latarnie. Robota nie trwa długo, bo z uliczki

słysząc tętent i wpadają galopem ułani z karabinkami gotowymi do strzału. Tym razem kozacy próbują stawić czoło, cofają się szybko za mur cmentarza i stamtąd prażą ogniem przybyszów. Kule zaczynają gwizdać koło spektatorów, którzy usuwają się na lepszy odcinek obserwacyjny, t. j. do bram i na strychy. Niektórzy obierają znów piwnice. Kawalerya austriacka szybko orientuje się w terenie i zajmuje ogród aptekarza, otoczony murem, położony na dobrej linii strzału ku cmentarzowi pod kościołem. Zaczyna się regularna strzelanina, jak w okopach. Kule padają na dachy, tłuką szyby, zwłaszcza koło kościoła. Mury świątyni pocentkowane i pył sypie się w powietrze.

Kozacy nie mogli dotrzymać placu, więc wycofali się w pojedynkę, ogień ich osłabnął, za to słysząc kopyta po zmarzłej grudzie. Tętent oddalił się wreszcie, utarczka skończona. Słomniczanie wychodzą ze swych „zakrywek strzeleckich“ dzielić się wrażeniami.

Wszystko to jeszcze nie jest paniką. Ta przychodzi później, przy większych wydarzeniach. Rosyjanie, wypierani systematycznie od strony Krakowa, przyszykowali potężne rowy strzeleckie i pozycje dla dział, zapowiedziawszy, że będą bronili się w mieście. Przeciągnęły już armaty i znikły za pagórkami. Teraz już wszystko wędruje do piwnic, oczekując rzeczy najgorszych.

Mija kwadrans, pół godziny. Nic nie słysząc. Nagle huk wstrząsa powietrzem. I znów cisza.

Łomot był potężny, cichość wydaje się jeszcze bardziej grobową i niepokojącą. Tak przechodzi jakiś czas. Może godzina, może dwie. Ktoś śmielszy wychyla się na powietrze. Krótki rekonesans przez okno pouczył, że na ulicy niema nikogo i nie nie słyhać. Można wyjść na dwór. Wkrótce zbiera się takich więcej i ktoś, kto patrzył przez cały czas na Rynek szparką w rozwalonej bramie, zapewnia, że Rosyane przemaszerowali spiesznie ku Kielcom. Nakoniec zjawia się chłop z okolicy.

— Most wysadzony w powietrze!

Okazuje się, że z obrony zrobił się odwrót i to spieszny. Zniszczono przy tem most na rzeczce. Słomniczanie wracają na parter domów, oczekując nowego wmarszu.

Tak to bywa w miasteczku polskiem blisko linii boju, przesuwałcej się ciągle tam i z powrotem. Wojska przechodzą i wychodzą, zmienia się język urzędowy i władza, wieści dochodzą z coraz innej strony i coraz odmienne, zależnie od tego, w którą stronę droga otwarta, a od której miasto jest odcięte. Słupy telegraficzne walą się i powstają na nowo, światło elektryczne, czerpane z młyna, gaśnie i zapala się naprzemian. Dwie tylko rzeczy nie zmieniają się prawie nigdy: znikąd niema większego dowozu żywności dla miasta, które oglądza się coraz ryzykowniej i rzadko kiedy gasną łuny, które widać wieczorem to bliżej, to dalej I nie

ucichają długie, wieczorne rozmowy o tem co już było i o tem co przyjść może, jeszcze smutniejsze, jeszcze więcej groźne.

Tak żyją ludzie w miasteczku polskiem. Jak zmieciony granatem zniknął ich dawny byt tak spokojny, prowincjonalny, zacieśniony w kółku najprostszych interesów osobistych. Zostali wciąż w zamęt, jaki rozpostarł się nad całą Europą, niemal nad całą kulą ziemską, bo niema dziś kąta, gdzieby nie odczuto wojny w taki lub w inny sposób. Oni są w samym środku wiru. Życie ich jest życiem mieszczanina z Gandawy, chłopa z Francyi północnej, albo z Prus wschodnich, albo z pod Belgradu, z tymi tylko różnicami, jakie przynosi stosunek do wojsk przeciągających, do polityki, jaka była przed wojną jaka po wojnie przyjdzie. Najbardziej zapadłe kąty znalazły się nagle w Europie, co do materyjalnej strony swego życia. Robi się w nich historia, historia nietylko Polski, ale świata. Tak było lat temu sto z zapomnianemi miasteczkami Litwy i Żmudzi, gdy ciągnęły przez nie armie napoleońskie.

Życie to równie smutne, jak niezwykle. Widzimy to po twarzach zatroskanych, po wystrzeniu nerwów, po tej niepewności, jaka ma luje się w oczach. Czy będzie jutro chleb i dach? Albo prościej: czy będziemy za miesiąc żyli? Jest to położenie człowieka, który schronił się

przed powodzią na konar drzewa. Wicher wyje, prąd podmywa pień, konary trzeszczą. Jeszcze trzymają się, ale czy za chwilę człowiek nie znajdzie się w nurcie?

Potęguje się ten nastrój grozy wieściami, jakie dochodzą ze wsi okolicznych.

Co chwila ktoś z okolicy najbliższej przyjeżdża lub najczęściej przychodzi, gdyż koń, jeszcze „nie-wojskowy“, jest rzadszy od brylantu. Wówczas zaczynają się opowiadania. Słyszymy je z ust drugich, więc trudno nam brać odpowiedzialność za fałsz, która w czasie wojny ma taki dar poszerzania zdarzeń, jeżeli te w ogóle miały miejsce. Opowiadanie jest bezładne, wszystko miesza się co do chronologii i szczegółów, jedni poprawiają drugich.

— Inwentarz i urządzenie padły ofiarą wojny — mówi ktoś — prawie we wszystkich wsiach na szlaku wojennym. Niedźwiedź hrabiego Antoniego Wodzickiego, Skrzeszowice i Radzowice Bogusława Kleszczyńskiego, Ściborzyce i Czapple Popielów, Smroków, dzierżawa Kościńskich, Siedliska i Falniów, dzierżawa Sucheckich, Poradków Saskich te ucierpiały najwięcej w budynkach, w inwentarzu, czasem w urządzeniu domowym.

— A Czechy Mioszszewskiego? — pyta ktoś z boku — A Obrażejowice Walterów, Jaksice Wilków i Goszcza Zubrzyckich, czy nie zniszczone? Przecież byli tu ludzie, opowiadali.

— Te także. Ale inne też nie ostały się cało. Wszędy szli żołnierze, w wielu padały strzały. Poniszczono też kościoły, nie dziwnego, to punkty na bardziej narażone na kule, bo wysokie i zdala widne. W Niegardowie kula wybiła olbrzymią dziurę pod samymi organami. W Goszczy kościół i plebania postrzelane kulami karabinowymi. W Luborzycach szły na kościół granaty, zniszczyły strasznie. Podobno ksiądz uszedł ku Galicyi i pojechał aż na Morawy, ludność także się rozprószyła, bo wieś zbombardowana. Podobny los spotkał Sułoszową koło Ojcowa. W Koniuszy wieś ocalała, ale kościół tak podziurawiony i poniszczony, że niemożna odprawiać nabożeństwa. Szrapnel zranił księdza w Iwanowicach, kościół uszkodzony, lecz nie tak bardzo jak gdzieindziej. Największe podobno szkody poniosła świątynia w Proszowicach, dach zupełnie opadł, ołtarze powywracane.

Wsi są wygłodzone doszczętnie. Mało gdzie znajdzie się zakopany w ziemi kopecyk katofli, trochę ziarna na mąkę, jaka kura lub prosię, które przetrwało w dole dotychczasowe perypetye wojny. Za parę tygodni, może za parę dni i to będzie spożyte. Co potem? Co w przednówek?

W Miechowie.

Ziemia podkrakowska. — Ośm wieków. — Rok 1863. —
Przed pół rokiem. — Pod stopą wojny. — Pustka. —
Oświetlone miasto. — Tu była cukiernia. — W biurze
rady miejskiej.

Miasteczko Miechów, oddalone od Krakowa o 40 kilometrów, jest stolicą powiatu miechowskiego, graniczącego wzdłuż brzegu Wisły z Wielkiem Księstwem Krakowskim. Teren lekko pagórkowaty podnosi się ku północy rozległymi terasami. Miechów leży już dość wysoko, panując nad okolicą. Miasto, będące ośrodkiem życia administracyjnego, jest także miejscowem centrum handlowem i siedzibą przemysłu, rozwiniętego bardzo słabo. Osada jest bardzo stara. Mamy zapiski, że istniała już w dwunastym wieku, gdyż Jaksa Gryf fundował tu wówczas katedrę.

W ciągu ośmiu przeszło wieków istnienia miasteczko przeszło wielokrotnie grozę wojny, padając ofiarą pożarów i rabunków. Jedna z największych i najboleśniejzych katastrof nawie-

dziła je w r. 1863. Wówczas to oddziały powstańcze, idące do Ojcowa, zaatakowały Rosyan, usiłując zdobyć Miechów. Rosyane miasto prawie zupełnie zniszczyli, pozostało zaledwie 40 nadwreżonych domów i ośmiuset mieszkańców. W ostatnich czasach Miechów liczył przeszło 600 dusz. Powiat miechowski miał 27 gmin.

„Okolica tu piękna, pisałby ktoś jadący tym krajem przed pół rokiem. Domy włościańskie ukryte w gętwinie sadów, nieraz murowane i obszernie, wskazują na zamożność ludności. Ziemia wydaje ciężkie ziarna pszeniczne, piękne jarzyny i warzywa, których uprawą zajmują się chętnie dwory i włościanie, gdyż niedaleki Kraków wszystko kupuje i chętnie płaci“...

Tak było, tak już nie jest dzisiaj. Ziemia ta przeniosła sześciokrotny przemarsz wojsk. Byli tu Strzelcy, były wojska austriackie, a potem niemieckie, Rosyane dwukrotnie wycofywali się i wracali. Od pięciu miesięcy z górą chadza tu wojna. Wsi po części opustoszałe, lub zupełnie zniszczone, jeżeli znajdowały się w bliskości przesuwającej się ciągle linii bojowej. Ucierpiały też bardzo osady leżące wzdłuż szosy warszawskiej. Niejeden dom leży w gruzach, lub tylko sterczy osmalonemi przez pożar resztkami murów, niejedna zagroda ma tylko trzy ściany; bez okien, bez dachu, bez drzwi, grozi lada chwila runięciem. Mieszkańcy wyniszczeni — kraj wygłodzony.

Zmrok już był zupełny, gdyśmy Miechów ujrzeli ze wzgórza. Błyszczał białemi światłami, świecił czerwonawemi gwiazdkami lamp. Zdało się, że iluminacya oświetla ulice. Dość długo jechaliśmy pustką. Nie widać było czuwających dawniej wieczorami oczu chat, nie było słyhać tak dobrze znanych naszczekiwań psów, skrzypienia żórawi, porykiwań bydła. Jechaliśmy w ciemni i głuszy. Nagle w dali to jaskrawe miasto. Kontrast był aż nieprawdopodobny.

Rzecz wyjaśniła się, gdyśmy wjechali w wąskie uliczki. Białe światła były reflektorami na Rynku, czerwone promyki szły od wysokich słupów z lampkami elektrycznymi.

Stanęliśmy w rynku. Było już zupełnie ciemno. Poco jechać dalej, nic nie widząc? Byliśmy trochę głodni. Przygotowani na to, że o pożywienie będzie w drodze trudno, zaopatrzyliśmy wyprawę naszą w prowianty dość obficie. Trzeba tylko było ciepłej izby i światła.

— Pójdziemy do cukierni! — oświadcza nasz przewodnik.

Schodzimy z wozu i wkrótce znajdujemy się na miejscu. Jest na murze szyld, w połowie zamazany. Lecz czemu drzwi i okna zamknięte na głucho? Wchodzimy w bramę. Zapewne wieczorem bocznem tylko wejściem można dostać się do środka.

Coś się świeci. Otwieramy drzwi i znajdujemy się wśród żołnierzy.

— Czy tędy do cukierni?

— Do cukierni? — powtarza zdumiony żołnierz. — Nic nie wiem. Tu jest Feldpost.

Teraz my z kolei zdumieliśmy się nieco.

— Tu była przed miesiącem cukiernia. Czy się przeniosła?

O tem żołnierze nie wiedzą. Zastali już lokal pusty. W miesiąc zaginęła pamięć, co było przedtem. Rezygnujemy z ciastek.

Trzeba pomyśleć o noclegu. Ktoś rzuca myśl, aby udać się do burmistrza. Wnet jesteśmy przed biurem rady miejskiej. Poucza o tem wielki szyld z napisem: „Biuro rady miejskiej Miechowa“. Biuro jest zresztą zwyczajnym sklepem, do którego dostajemy się z ulicy po dwu nadwerężonych stopniach. Wchodzimy. Znajdujemy się w dość dużej izbie o pustych, brudnych ścianach. W rogu stół, koło niego kilka krzeseł, na stole lampa naftowa, ustawiona na doniczce pełnej ziemi. W pokoju kilku ludzi w paltotach i kapeluszach, gdyż zimno dotkliwie.

— Czy tu magistrat?

— Nie. Tu urzęduje burmistrz i rada miejska, chwilowo.

Zapoznajemy się z burmistrzem.

— Przyjechaliśmy zobaczyć, jak wygląda dziś miasto? Chcielibyśmy informacyj, co się tu działo?

Burmistrz jest jakby zakłopotany.

— Informacyj? — jakich informacyj?... Ja się niczem nie zajmuję.. My tylko wyznaczamy kwatery, pilnujemy porządku.

Chwila kłopotliwego milczenia.

— Nam idzie o fakta, nie o nastroje... Chcemy znać przebieg zdarzeń, jakie były, pragnęli byśmy wiedzieć, jak miasto rządzi się teraz?

Znów milczenie, jesteśmy bacznie obserwowani. Potem słyszemy:

— Ano... to proszę stawiać pytania. Będę odpowiadał.

Miechów w czasie wojny.

Tam i z powrotem. — „Kadryl armij i wojsk“. — Co kilka tygodni nowy burmistrz. — Represye rosyjskie. — Ostrzeliwanie lotnika. — Ostatnia „rada“. — Zniszczenie w mieście. — Resztki mąki i mięsa. — Brak opieki lekarskiej. — Miasto bez wody.

Zasiedliśmy przy stole, od którego rozchodziły się promienie lampy, utkwionej w doniczce, nie docierając do ścian brudnych i odrapanych. W kręgu światła ustawiło się półkole ludzi w paltotach i czapkach na głowie, bo w siedzibie Rady miejskiej szła para z ust.

Burmistrz dotrzymał przyrzeczenia. Stawialiśmy pytania, on odpowiadał i oto treść rozmowy, treść życia Miechowa od początku walk:

Zaraz po wypowiedzeniu wojny wśród władz rosyjskich w Miechowie objawiło się silne zaniepokojenie. Mieszkańcy, przewidując wyjazd Rosyan, zgłosili się do naczelnika powiatu z propozycją utworzenia miejskiej straży obywatelskiej dla pilnowania porządku. Władze rosyjskie zgodziły się i straż obywatelska poczęła się za-

raz organizować. Istniała przez czas dość długi. Dnia 7 sierpnia wjechał do miasta patrol wywiadowczy, po którym w kilka godzin wkroczył oddział 300 Strzelców. Strzelcy założyli swój komisaryat w budynku powiatowym. Wybrano nowego burmistrza. Gdy przybyły wojska austriackie, powstał komisaryat rządowy austriacki z radcą Olszewskim na czele, jako naczelnikiem powiatu. Jakiś czas oba komisaryaty działały obok siebie. Potem komisaryat strzelecki został zniesiony.

Oddziały Strzelców poszły do Kiele, w Miechowie pozostały tylko wojska austriackie. Urządzono pocztę państwową, telegraf i wzięto się energicznie do uporządkowania miasta. Potem zjawily się nowe oddziały Strzelców i Legionistów, a 27 sierpnia przyszły wojska niemieckie, przeciągając w wielkich kolumnach na wschód. Miasto otrzymało nowe rządy. Komendantem był major Möricke, powiat dostał naczelnika w osobie landrata von Lückena. Dotychczasowy austriacki naczelnik powiatu, radca Olszewski, wyjechał.

Rządy niemieckie, trwały aż do odwrotu z pod Warszawy i Dębłina. Wówczas miasto zostało na kilka dni bez władzy. Wybrano nowego burmistrza i nową straż obywatelską, ale 8 listopada ukazały się na ulicach patrole kozackie. Nazajutrz rozpoczął się przemarsz wojsk rosyjskich, a za wojskiem nadciągnęły dawne władze. Zjawił

się też pierwszy burmistrz, który przedtem zachorował. Przybyli też wkrótce żandarmi. Zaczęły się aresztowania i indagacye. Dużo osób wywieziono, oskarżając je o pomoc, lub o sympatyę dla legionistów.

Koło połowy grudnia wśród wojsk rosyjskich dał się zauważyć żywy ruch. Przewożono ogromne transporty rannych. Do miasta nadciągały zdzięsiątkowane oddziały wojsk. Z południa dolatywał silny huk dział. Czasami, z góry, warczał motor dwupłatowca austriackiego, który krążył nad okolicą. Jednego dnia lotnik taki zniżył się więcej, niż zwykle. Rozpoczęła się silna strzelanina karabinowa, do której wmieszał się regularny stukot karabina maszynowego. Czy strzały dosięgły lotnika? Zdaje się, że nie, bo wzbił się szybko w górę i odleciał, lecz Rosyanie twierdzili, że lotnik był ranny.

Przyszedł 15 i 16 i grudnia. Odwrót Rosyan był ogólny i ostateczny. Na miasto spadły jeszcze chmary maruderów i kozactwa, zaczął się rabunek sklepów a w części i mieszkań. Lecz już 16 grudnia weszły przednie straże austriackie, za niemi piechota. Miasto odetchnęło.

Urzednicy rosyjscy uciekli razem z wojskiem. Wezwano mieszczan do wyboru burmistrza i rady miejskiej. Nowa rada musiała energicznie wziąć się do porządków, a przedewszystkiem naprawić wywrócone słupy telegraficzne, zerwane

mosty, oraz przywrócić oświetlenie elektryczne. Prądu dostarcza miastu jeden z dwu młynów elektrycznych. Oba uległy uszkodzeniom, jeden zupełnie zgorzał, w drugim Rosyane zepsuli częściowo maszyny. Sprowadzono monterów z Krakowa. Po kilku dniach światło zabłysnęło na nowo, jeszcze silniej niż przedtem, bo powiększono ilość latarni.

Rada miejska ma dużo zadań i obowiązków. Nadzór nad utrzymywaniem czystości w mieście, zaprowiantowanie mieszkańców i dostarczanie opału, naprawa mostów (w pewnej części), oraz dostarczanie kwater wojsku. Nie wszystkie z tych obowiązków mogą być spełnione. Zaprowiantowanie miasta i dostarczenie opału natrafia na nieprzewyciężone trudności. To też rada zajmuje się najwięcej kwaterami, których ciągle potrzeba dla przychodzących wojsk.

Miechów nie leżał w bezpośredniej bliskości walk, to też niema tu ofiar granatów i kul, niema zabitych i rannych, niema pogruchotanych i spalonych domów, lecz niemniej miasto ucierpiało bardzo skutkiem ciągłych przemarszów wojsk, tam i z powrotem: prawdziwy „kadryl“, jak gorzko mówi Miechowianin. Doraźne straty, to kilkanaście wyrabowanych przez Rosyan sklepów i zniszczonych mieszkań prywatnych. To jednak nie najgorsze. Najgorsze, to zupełne wygłodzenie miasta i okolicy.

Stopniowo wyczerpywały się środki żywności. Przechodzące wojska wykupywały i rekwirowały chleb, mąkę, zboże, trzodę. Dziś wszystkiego brak. Niema wcale dowozu, miasto zupełnie odcięte. Z trzech stron toczą się walki, od południa komunikacya z Krakowem na razie zamknięta. Dziś zjada się resztki, piekarnie chleba nie wypiekają, jeszcze łatwiej można kupić mięsa, a to dlatego, że okoliczni włościanie umyślnie wysprzedają ostatnie sztuki bydła, jakie jeszcze pozostały, długo nieraz chowane w jamach, lub w odległych lasach, sprzedają, w obawie przed rekwizycyą. Podobno po prywatnych domach jest jeszcze trochę mąki, pochodzącej ze składów, których Rosyane nie zdążyli zabrać w odwrocie. Składy te dali miastu, a miasto rozsprzedało zapasy mieszkańcom. Wszystko to jednak wyczerpie się niedługo.

— Brak jest opału i nafty — żali się jeden z radnych. — Węgiel wyszedł dawno. Do wytworzenia światła elektrycznego wojskowość sprowadza węgiel z Krakowa. Zapasów drzewa dowieść nie można, dawne spalono, gdyż brak wołów i koni. Mało gdzie po domach pali się wieczorami światło, a to przykre, bo o zmroku już nikt nie opuszcza mieszkania. Nie wolno po siódmej wychodzić. Nieraz kładziemy się spać w zimnej izbie, nie zapalając światła.

Często daje się we znaki brak lekarzy. — Objaśnia nas o tem p. Czarnowski, znany archeo-

log, członek komisji antropologicznej krakowskiej w Akademii Umiejętności, który życie strawił na badaniu geologicznem okolic Miechowa, w szczególności zaś grot ojcowskich. — Było dwóch lekarzy, obaj wyjechali. Pozostał jeden staruszek, ten jednak jest tak przyciśnięty wiekiem, że nie praktykuje.

— Są lekarze szpitali wojskowych — wtrącamy.

— Szpitali założyły władze austriackie wojskowe kilka. Lekarze mogą czasami pomódz; dobrej ich woli staje jednak na przeszkodzie nie tylko zajęcie urzędowe i brak czasu, lecz czasem brak specjalnych środków i narzędzi lekarskich. Wśród kobiet zaszło też kilka wypadków śmierci, którą dawniej możnaby oddalić.

— Dzieci także bardzo umierają... — zauważa jeden z radnych. — Najtroskliwsza opieka władz austriackich niewiele pomoże w takich stosunkach.

Zapanowało chwilowe milczenie.

Do wielkich a niezwykłych dolegliwości należy brak wody. Miechów jest chyba jedynem miastem na świecie, które nie posiada prawie studzien. Władze rosyjskie nie pozwalały na naprawianie dawnych ani na kopanie nowych. Na wszelkie prośby i podania odpowiadano, że „miasto jest za blisko granicy, aby mogło mieć studnie“. Sytuacya była nieprawdopodobna. Radzili

sobie Miechowianie w ten sposób, że sprowadzano wodę z pobliskiej miejscowości, odległej o jakie dwa kilometry. Wytworzył się cech woziwo-dów, którzy za miesięczną opłatą trzech rubli zaopatrywali domy w drogocenny płyn. Gdy przyszła wojna i zabrakło koni, ustał dowóz wo-dy. Dziś chodzi się po nią pieszo, to też woda jest w mieście niemal zbytkiem, używa się jej w dozach minimalnych, oszczędnie...

Noc w Miechowie.

Szukanie noclegu. — Specyały. — O wojnie. — Burmistrz, który miał wisieć. — Mimo wszystko. — Nazajutrz. — Cerkiewka. — Rozporządzenie na murach. — Wędrowne herbaciarnie. — W kościele. — Rok 1812.

Poprosiliśmy burmistrza o radę, gdzie przenoć. Okazało się, że znalezienie noclegu będzie przedsięwzięciem bardzo kłopotliwym, wszystko było zajęte przez wojsko, niema jednego mieszkania, jednego kąta. Z łóżek gotowiśmy byli zrezygnować, chodziło tylko o dach nad głową.

Radziliśmy nad tem z burmistrzem, a dogadywali z boku „radni“, których oznakę godności stanowiły przepaski na rękawach paltotów, z różnymi napisami. Jeden był nawet niemiecki, na innych widać było przeważnie: „Komisya kwaterekowa“. Mieli więc w naszej sprawie głos najważniejszy, lecz jak radzić tam, gdzie niema rady?

Po wielu namysłach i projektach okazało się jednak, że niema położenia bez wyjścia, gdyż

p. Ł. ma jeszcze wolny pokój stołowy, komfort więc będzie zupełny. Udaliśmy się na wskazane miejsce, zaprezentowani przez głównego komisarza kwaterunkowego, przyjęto nas bardzo uprzejmie. Gospodarz wraz z burmistrzem podjęli się nawet wyszukania posłań. Nie wierzyliśmy, aby to mogło się powieść, lecz po jakimś czasie przybyli, zdobywszy nietylko sienniki, ale i łożko płócienne składane. Szczęście sprzyjało nam, znaleźliśmy przytułek i to w domu serdecznie po polsku czującym i po polsku gościnnym.

Kolacyę urządziło się mimo protestów gospodyni wspólnymi siłami. Złożyły się na nią konserwy krakowskie, jajecznicza miechowska, oraz bułki z pod Sukiennic, nie licząc herbaty. Dwie dzielnice Polski wymieniały ze sobą specyały, bo bułka jest dla Miechowianina taką samą rzadkością, jak dla nas suta porcyja jajeczniczy ze świeżych jaj, albo pierwszorzędne masło deserowe. Chleb Miechowianie mają, ale jaki!... Gospodyni pokazywała bochenek, który został jeszcze po przeciągu wojsk rosyjskich, przechowywany troskliwie, bo innego może wkrótce nie być. Wyglądał gliniasto i ponuro.

Zasiedliśmy do wieczerzy w ożywionem usposobieniu, potoczyła się rozmowa.

— Początek wojny —zagadnęła jedna z pań— był zwłaszcza dla nas, kobiet, można powiedzieć interesujący: tyle wojsk, wejście strzelców, okrzyki, nie widzieliśmy nigdy tylu nowych i cie-

kawych rzeczy. Siedziałyśmy ciągle w oknach ; ale wkrótce oczy przyzwyczaiły się, tyle szło armat, samochodów, aeroplanów, różnych mundurów, że nakoniec to przestało interesować. Zwłaszcza, że równocześnie zaczęliśmy odczuwać inną stronę wojny. Rozpoczęły się kwatery, rekwizycje, przebąkiwano o możliwości powrotu wojsk rosyjskich...

— Ale i ten czas jeszcze nie był tak groźny — wtrącił ktoś z boku. — Zapasów nie brakowało, przeciwnie, wywoziliśmy zboże i mąkę do Krakowa, niektórzy nawet zrobili na tem dobre interesy. Z Krakowa znów dowożono naftę i różne towary, nawet tkaniny, handel ożywił się wybornie.

Przeszliśmy na temat pierwszych walk.

— Miasto ocalało od zniszczenia, niema domów spalonych, ani porujnowanych kulami. Były jednak chwile, że przyszła konieczność schowania się do piwnic. Armaty huczały przez kilka dni, granaty austriackie padały na furgony armii rosyjskiej. Potem bitwa oddaliła się, wyszliśmy z ukrycia. Wyszadzono tylko most.

— Ten most — dodał jeden z obecnych — omal nie kosztował życia poprzedniego burmistrza. Zawołał go pułkownik rosyjski i zapowiedział, że jeśli most nie będzie naprawiony do 24 godzin, burmistrz będzie powieszony. Zeszli się przyjaciele pocieszać biedaka, chociaż nikt ostatecznie groźby nie traktował nazbyt

seryo, zachęcali go nawet do trącenia się kieliszkiem, mówiąc: „Napij się, jutro i tak nie będziesz wisiał“. Burmistrz uciekł nad ranem i tak się sprawa zakończyła.

Gospodarz nasz zna wybornie cały powiat. Opowiada wiele szczegółów o wsiach okolicznych. Smardzewice, Cianowice, Rzeplin i Damice poniosły wielkie szkody. Olbrzymia wieś Sułoszowa, licząca 6.000 mieszkańców, i ciągnąca się prawie na milę, w połowie spalona. Jangród opustoszały. Obrazy już znane nam z opowiadań w Słownikach. Tylko nazwy inne.

Pytamy o zasiewy.

— Oziminy zasiane. Dużo zniszczało od kopania rowów, a co przy drodze, to wydeptane zupełnie. Z wiosną możnaby dosiać, tylko koni niema do obróbki pola.

— A będzie zboże na zasiew?

— Tego nie wiadomo. Może chłopci jeszcze gdzie mają trochę. Ale głód może ich zmusić do zjedzenia siewnego ziarna.

— Z żywnością będzie bieda — kończy gospodarz. — Maglowano nas straszliwie od pięciu miesięcy. Dotychczas przetrzymywaliśmy, ale wszystko ma swoje granice. Czy to się kiedy skończy? Oby jak najprędzej. Brak wiadomości męczy nas też bardzo.

Zamyślił się i kończył:

— Jedno nas podtrzymuje: wiara, że potem musi być lepiej. Taka wielka wojna, tylu na-

szych krew przelewa... Potem musi być chyba i Polakom lepiej.

Gdy nazajutrz przebudziliśmy się i wyjrzeli oknem, pierwsze, co nam wpadło w oczy, była cerkiew. Rosyanie, jak wiadomo, systematycznie stawiali cerkwie w miasteczkach polskich. Ostatnimi laty pobudowali je wszędzie, gdzie było choć kilku urzędników prawosławnych. Więc i w Miechowie znalazła się cerkiewka, mała, ale brzydka.

Trzeba przypatrzeć się miastu. Typowe miasteczko polskie: dość duży rynek, z domami parterowymi i piętrowymi, na ukos szosa, idąca dalej uliczkami w stronę Krakowa oraz ku Kielcom, uliczki wąskie i błotniste. Drogi rozchodzą się z Miechowa ku Wolbromiowi i Pińczowu, wszystkie wyboiste i pełne szlamu. Właśnie zapuszczał się w jedną oddział saperów z łopatami, aby poprawić przejazd ileby się dało.

Ściany w rynku pokryte gęsto obwieszczeniami i rozporządzeniami. Wiszą obok siebie szczątki odezów strzeleckich i proklamacye rosyjskie, rozporządzenia władz austriackich i odezwy Niemców. Z plakatów rosyjskich, drukowanych po rosyjsku i po polsku, wynika, że magistratowi zaginęły wszystkie papiery, dokumenty i książki. Najświeższe rozporządzenia pochodzą oczywiście od władz austriackich, tyczą się utrzymania porządku, są ciekawe jako dokument pierwszych rozporządzeń administracyjnych w kraju zajęтым. Oto treść jednego:

OGŁOSZENIE.

Z rozkazu władzy wojskowej ogłasza się co następuje: 1) Austryackie pieniądze muszą być wszędzie przyjmowane podług kursu 2 korony za 1 rubla (1 korona — 100 halerzy). 2) Zebrania tak na ulicy, jak w mieszkaniach są wzbronione. 3) Bez przepustek nie wolno nigdzie chodzić lub jeździć po za obrębem miasta. 4) Dzwonienie w kościołach jest zabronione. 5) Sklepy muszą być o godzinie 7 zamknięte. 6) Aż do dalszego rozporządzenia powinno się palić światło w oknach na parterze przez całą noc. 7) Nie wolno sprzedawać wódki ani cywilnym ani wojskowym. 8) Broń wszelkiego rodzaju zarówno wojskowa jak myśliwska winna być w ciągu 24 godzin złożona do gminy. 9) Właściciele domów są obowiązani na podwórzach, w wychodkach porządek utrzymywać, zamiatać codziennie chodniki przed domem i zamiatać do połowy ulice. 10) Pomyje mają być zlewane do rynsztoków lub do zlewów a wylewać pomyje na podwórze lub na ulicę surowo zabrania się. 11) O obcych w Miechowie nie stale zamieszkałych musi każdy właściciel domu lub zarządca natychmiast donieść wojskowej władzy. Przekraczający powyższe zarządzenie będą w myśl ustaw wojennych do surowej odpowiedzialności pociągani a nawet na karę śmierci mogą być skazani.

Kreiskomando Miechów 23 grudnia 1914.

Przepisywanie tego rozporządzenia wywołało interwencyę żandarma, który widząc ludzi obcych, cywilnych, jak coś notują, musiał spełnić swój obowiązek i zażądać legitymacyj. Oczekiwaliśmy

tego, a że łatwo było usprawiedliwić swą obecność żadanymi papierami, sprawa zakończyła się pokojowo.

Otwartych jest ledwie kilka sklepów. Jakiś większy magazyn spożywczy, ze trzy z „towarem łokciowym“ i ze trzy herbaciarnie. Te ostatnie pełne, tłoczą się w nich żołnierze po szklankę gorącej, zafarbowanej wody. Lecz są inne, daleko oryginalniejsze. Mieszczą się w wyboistych, brudnych sieniach, lub wprost na chodniku. Wyposażenie mają więcej niż skromne: mały, kulawy stolik, na którym stoi samowar z reguły pogięty, jakby go nastawiano w rowach strzeleckich; pod stolikiem rząd blaszanych, lepjących się garnuszków i jakieś placki niewyraźnego wyglądu. To umeblowanie i zaopatrzenie bufetu. Właściciel lub właścicielka dostraja się powierzchownością do urządzenia swego przedsiębiorstwa. Są to ludzie przeważnie brudni jak ich stoliki i jacyś pogięci jak ich samowary.

Podchodzimy do takiego stolika. Mój towarzysz odzywa się:

— Należcie no szklankę...

Trącam go ze zdumieniem. Uspokaja mnie wzrokiem. Przekupka waha się widocznie.

— To nie dla Wielmożnych Panów herbata. To dla żołnierzy.

— Co tam! Nalewajcie!

— Z cukrem, czy bez cukru? Bez cukru siedm kopiejek, z cukrem piętnaście, z jednym kawałkiem — dodaje troskliwie.

Oglądamy płyn koloru brudnej słomy. Łatwo domyśleć się, bez próbowania, wartości i smaku. A jednak dla żołnierza to nieraz przysmak królewski. Woda jest ciepła i słodka, to już tak wiele... Herbaciarnie te mają powodzenie, jest ich sporo po bramach; na rynku, czasem, przy większych przemarszach wojsk, dymi podobno po paręset takich samowarów. Panie miechowskie żalą się, że o służącą coraz trudniej. Zajmują się tym przemysłem domowym i chwalać sobie zarobek, dochodzący podobno do kilku rubli dziennie w razie popytu.

Wstępujemy jeszcze do kościoła. Stara to budowa. W wieku XII Jaksa Gryf, członek rodu starodawnego, który wywodzi się od książąt syrb-skich, sprowadził tu zakonników reguły św. Augustyna, których poznał, bawiąc w Jerozolimie. Osadził ich w klasztorze i nadał zakonowi trzy osady. Zakonników zwano potem Miechowitami. Kościół kilkakrotnie padał pastwą pożaru, był też trzy razy zupełnie przebudowywany. Obecnie jest to wielka budowa o niezwyklej wysokości nawie, dużych jasnych oknach w prezbiterium o dwu dobudowanych później kaplicach i kaplicy wejściowej zwanej babińcem. Najstarszą jest dolna połowa wieży, wysokiej, zakoń-

czonej płaskim dachem na której spoczywa olbrzymich rozmiarów kula-globus, jako kopuła. Na kuli złoty podwójny krzyż Miechowitów.

Wewnątrz niewiele pomników i ołtarzy. Zniszczył je ogień. Piękne są stale dębowe, rzeźbione; obok kościoła krużganki gotyckie tworzą wielki kwadrat, podobnie jak w kościele Dominikanów w Krakowie.

Dokoła stare drzewa, na ogromnym ementarzu pod murem, ślad wojny: wielkie zwoje drutu kolczastego. Za murem z jednej strony stoją samochody ciężarowe, po drugiej kuchni polowe buchają kłębami dymu, szosą idą oddziały wojska i ciągną powoli furgony.

Przed kościołem wielki krzyż kamienny. Odczytujemy napisy:

„Panie, powstrzymaj gniew Twój i nie karz nas“.

„Odwróć od nas głód i zachowaj od krwawej wojny“.

Znajdujemy datę fundacyi. Jest to rok 1812. Sto lat temu przez ziemie polskie szła wielka wojna.

Na szosie i w lesie.

„Droga polska“. — Do dworu. — Jak na wakacyach. — Śpiew w lesie. — Szare mundury. — Kto idzie? — Od Czarnogóry do Królestwa. — Chłop patrzy. — W Książu. — Figura przydrożna. — Na moście. — Spotkanie w miasteczku. — Ku frontowi bojowemu.

Między Wodzisławiem a Książem, niedaleko krzyża, skręca z szosy na lewo droga „polska“. Jest w tej chwili bardziej polską, niż kiedykolwiek; odrazu na wstępie wita spektatora kałuża niezwykłych wymiarów, sąsiadująca z wybojem, który przypomina dziury, wrywane przez moździerze trzydziesto- i pół centymentrowe, jest niezawodnie śladem przeciągu furmanek i furgonów wojskowych, lecz bez względu na proweniencję każe rozstać się z nadzieją, aby tą drogą można przeprowadzić samochód. Sytuacja kłopotliwa gdyż do Mianocic, leżących za tym wybojem, mamy dostać się, aby poprosić pp. Morawskich o nocleg, o który niełatwo będzie w miasteczkach, zawalonych wojskiem.

Nie pozostaje nic innego, jak rozdzielić się i wysłać do dworu pieszy rekonesans, który za-

czyna odważnie wędrówkę, podczas gdy dziennikarze rozglądają się po okolicy.

Jest prześliczna. U skraju wijącej się szosy widać Książ. Jak rzucić okiem przed siebie i w prawo, wszędzie lasy, schodzące po falistych wzgórkach. Nad gęstwiną unosi się sinawa mgła, pierchająca przed światłem słonecznym. Zielenią się sosny, błyszczą białawe pnie brzoź, spokój taki, jak gdyby lada chwila miał ukazać się z pomiędzy krzaków łeb sarni, z oczyma rozglądającymi się ciekawie. Znikły z drogi furgony, które ciągnęły przed chwilą z wielkiem skrzypieniem i tupotem, umilkł samochód ciężarowy, obładowany narzędziami i worami. Mamy przed oczyma las wsi polskiej, las taki, jaki pamiętamy z pierwszych wypraw na turkawki z „pojedynką“ i z pierwszych wakacyj gimnazjalnych..

Ciszę przerywa śpiew. Dziwny śpiew. Nie jest to ani skoczny wyrwas wesołości chłopskiej, ani melancholijne „zaciąganie“ podkrakowskie. Wysoki tenor przewodzi, do niego przyskoczyły po chwili niższe głosy, robi się wtór; nuta smutna, przeciągła. Głosów sporo, młodych, silnych.

Po chwili z pomiędzy brzoź wynurzyła się kolumna wojska w szarych mundurach. Przedzierają się polami, naprzelaj gościńca, który w tem miejscu wygina się na lewo, zataczając wielki łuk. Są może na tysiąc kroków, ledwie widoczni jako małe figurki, istni żołnierze ołowiani. Przy-

bliżają się: można rozróżnić karabiny i fezy na głowach.

To pułki bośniackie. Przewędrowały całą monarchię, od Czarnogórza po Michałowice, aby znaleźć się w Królestwie Polskiem. Chłopcy dziarskie, o profilach ostro krojonych, oczach czarnych i bystrych. Idą wesoło i hucznie, wyglądają czerstwo.

Na drodze przystanął chłop, przypatrując się. Patrzymy czy spogląda z ciekawością? Gdzie tam! Wzrok ma obojętny, przygasły. Jeszcze nie przeszli, a obrócił się w swoją stronę. Nie zdziwiły go fezy i niezwykły typ twarzy. Tyle już widział. Nic mu nie dziwne.

Gdy powrócił rekonesans, okazało się, że u-przejmy gospodarz sam zechciał pofatygować się, aby gości spadających nieoczekiwanie zaprosić na wojennego Sylwestra. Ruszyliśmy dalej, przebiegając szybko Książ, pełen wojska i wozów.

Jedziemy długo wśród zupełnej szarości. Pola, ziemia i niebo zlewają się w całość. Droga wydaje się rzeką, błyszczące płynne błoto pokrywa ją równą warstwą i sprawia to złudzenie. Automobil sunie jak łódź.

Z mgły wynurza się figura przydrożna. To Chrystus na krzyżu. Ręce zwisają ustrzelone, trzymając się za dłonie na gwoździach, statua podziurawiona kulami pochyliła się nad wzgórzem.

Dalej błyszczą potężne światła. Widzimy je przez dobre pół godziny, nim zblizą się zupełnie. Dojeżdżamy do czegoś, co wygląda na fabrykę. Fabryka w czasie wojny, tutaj, w tej pustce? Rozróżniamy dwa silne reflektory elektryczne i widzimy kłęby dymu, które buchają z kominów. To piekarnia polowa. Z furgonów zwalono na jeden stos setki worów z mąką, istne pagórki. Uwijają się koło nich ludzie, w oślepiającym blasku reflektora, wydają się czarnem mrowiskiem. Żołnierz potrzebuje chleba, może oczekuje go w rowie strzeleckim, przeziębły, głodny, tam, dokąd dążymy..

Widok fantastyczny, lecz niema czasu podziwiać go dłużej. Droga jeszcze daleka przed nami. Ruszyliśmy naprzód całym pędem, często jednak musieliśmy zwalniać tempa, zatrzymywały nas światła straży przy mostach. Prawie każdy most wygląda zupełnie nowo, widocznie stawiali go pionierzy w ostatnim czasie. Niektóre jeszcze się kończy, czy naprawia po ciężkich działach, jakie się nimi przewaliły. Przelecieliśmy kilka dość szybko. Nagle samochód stanął. Przewodnik nasz, porucznik Henryk Uziembło, wyglądał bacznie ku przodowi, coś obserwując.

— Ten most mi się nie podoba... — rzucił krótko.

Istotnie, most łączył brzegi, ale zagłębiał się ku środkowi. Przejedziemy, czy nie przejedziemy?

— Rozmyślania nas nie przewiozą — zakon-

kludował, uśmiechając się, nasz przewodnik, z niezbitą logiką. — Trzeba próbować.

Ruszyliśmy ostrożnie. Most okazał się łaskawym i nawet nie zadrgał pod ciężarem wozu. Ruszamy dalej szybszem tempem. Nad drogą ja-
cyś ludzie uwijają się przy rowie. Krzątają się przy robocie. Koło nich wóz. Ściągają skórę z padłego konia i ładują na wóz razem z padliną. Wojna stworzyła nowy przemysł biedaków.

Teraz miasteczko. Minęłoby się je szybko, gdyby nie spotkanie na rynku, wśród wozów i błota, ze znajomymi krakowskimi.

Dwóch doktorów: jeden prawa, drugi filozofii, urządziło kawalkadę po rozbitym bruku, na łądnych koniach, w nowo jeszcze wyglądających mundurach. Pożądane im były wieści z Krakowa i krótki rzut oka na sytuację według najnowszych telegramów wojennych, które niechętnie, jak się zdaje, biegają po telegrafie polowym, a przynajmniej nie zbyt szybko. Pierwszem pytaniem oczywiście było, czy Warszawa wzięta? Roztoczyliśmy cały zasób wiadomości, wieziony z Krakowa i samochód zatarczał znów. Teraz sunęliśmy wprost ku frontowi bojowemu. Jak się da najdalej.

Na froncie bojowym.

Arterya wojny. — W błocie. — Wsi, których niema.
miasta, których nie widać. — Wypalone domy. — Na
wozie. — Padłe konie. — Przeszkoda. — Przed zała-
manym mostem. — Telegrafy. — Ściany na drogach. —
W bród. — Miasteczko. — Strzechy na podściółkę. —
We mgle. — Trumna. — Ani kroku dalej!

Arteryami wojny są drogi. Drogami muszą iść
wojska, nim rozsypią się w rowy strzeleckie lub
popędzą polami do szturmu. Drogami ciągną ar-
maty, niosące w sobie najdoskonalszą śmierć
XX stulecia. Gościniec, którym jedziemy, jest
jednym z niewielu jeszcze możliwych do użytku.
Jest więc nieustannie psuty i naprawiany. Psują
go koła taborów wojskowych i armat, naprawia
ciągle tysiące ludzi, aby mogły iść dalej kara-
wany wozów i pociągi dział.

Dzień jest ciepły, choć koniec grudnia, droga
nie omarzła, czyli jest korytem pełnem błota.
Pokrywa ono szosę grubą warstwą; bitego grun-
tu można domyślać się ledwie po tem, że koła
automobilu uderzają czasem o kamienie tak, iż

wóz podskakuje gwałtownie do góry. Leżą widocznie na czemś twardem, inaczej byłyby dawno wgniecione w ziemię. Tak, to widocznie szosa ...

W niektórych miejscach wylewa się rzadki szlam do rowów przydrożnych lub na pola szeroką plamą, wyglądającą jak zastygła lawa. Skąd bierze się tyle tej natrętej, lepkiej masy? Zupełnie tak, jak gdyby koła wozów wygniatały z ziemi te soki maziaste. Ludzie, którzy muszą tędy wędrować, starają się trzymać jak najdalej od tej „artery komunikacyjnej“, idąc polami przydrożnymi lub śladem trochę suchszym ciągnących taborów.

Jedziemy już dość długo. Nie, tylko pola dalekie, lekko faliste, białawe od śniegu. Po prawej ręce czarna, wielka plama. Wiemy, że tu była wieś. Teraz tu pole, niemal równe. Tylko kilka studni sterczy jeszcze i figura Matki Boskiej przy drodze napisem fundacyjnym mówi o nazwie byłej wioski. Z ziemi wznoszą się gdzieniegdzie, rzędami, ledwie widoczne nasypy z czarnymi otworami. To mieszkanie żołnierza: schowki ziemne. Zbliża widać nawet okienka małe, ukośnie tuż nad ziemią umieszczone i drzwi, otwierające się w ziemię, do korytarza, który jest wejściem i sienią tego mieszkania. Chałupy musiały zniknąć z ziemi, aby człowiek zamieszkał pod ziemią.

Nakoniec widać domy całe. Istotnie, wieś jest nieuszkodzona. Zawdzięcza to zapewne temu, że leży za blisko miasta, a Rosyanie tu nie do-

tarli. Ale niedaleko znów siedziby dotknięte wojną. Gdzieniedzie samotne kominy, jak nagrobki żywych niegdyś chat. Tu znowu wszystkie drewniane ściany stodół rozebrane, tak że dach trzyma się na węglowych, murowanych słupach. Okolica bezdrzewna, więc ściany poszły na opał razem z płotami, z futrynami drzwi, a pewnie i ze sprzętem bezpańskich opuszczonych chałup.

Oto pierwsze rowy strzeleckie. Tu byli już zapewne Rosyane. Z tego wzgórza widzieli może wieżycę Krakowa. Rowy kopane pospiesznie, płytko, i nierówno, siedziały w nich pewnie strażę przednie. Za niemi nad drogą, wielki kopie; ocieniony drzewami. To mogiła powstańcza. Teraz zakopał się w nią jakiś żołnierz, grzebiąc sobie schowek przed strzałami nieprzyjaciela. Mijamy olbrzymie tabory, ciągnące się na parę kilometrów. Wszystko idzie naprzód, znak szczęśliwej ofenzywy wojsk austriackich. Kilkanaście wielkich wozów wypełniają derki i koce. To dla żołnierzy, którzy czuwają w rowach w mgliste, przejmujące noce.

Po rowach leżą czasem jakieś wielkie zabłoczone toboły. Szlam, bryzgając i przelewając się z drogi, pokrywa je grubą warstwą.

Tak wyglądają w tem miejscu zwłoki końskie. Spotykaliśmy ich poprzednio tyle, że nie zwracaliśmy już naszej uwagi, przestaliśmy je prawie widzieć. Obecnie spostrzegamy znowu, tak zmieniły wygląd pod powłoką błota,

Droga poprawiła się trochę. Błoto ułożyło się z jednej strony nawpół stwardniałą pomarszczoną skorupą, pozostawiając pół szosy względnie suchej. Jedziemy szybko, gdy zatrzymują nas sygnały. Na drodze stanęły wozy. Jakaś przeszkoda. Pokazuje się, że most załamał się pod ciężarem olbrzymiej armaty. Wre gorączkowo praca. Z obu stron zakłada się łańcuchy, automobile ciągną, pionierzy pokładają szyny i belki.

Między poręczą a złamanym wehikułem jest trochę miejsca.

— Można przejechać! — woła oficer, kierujący robotą.

Idziemy przekonać się naocznie. Jest to niemal przeprawa w pław, wobec głębokości błota. Istotnie można spróbować. Ruszamy ostrożnie i most zostaje za nami.

Mijamy wielkie obozowiska furgonów. Całe kolumny stoją na polach wielkimi kwadratami. Przypominają się opisy taboru pod Beresteczkiem i pod Cecorą, gdzie według dawnej sztuki wojennej ustawiano wozy w czworobok zamknięty, wiążąc je łańcuchami.

Na niedalekiem wzgórzu przydrożnem znaczy się na niebie dziwna sylweta: wysoka cienka żerdź, obwieszona jakby nitkami. Zbliżając się, widzimy, że żerdź jest złożona z długich prętów tak, że tworzy wysoki maszt składany, który podtrzymuje w równowadze sieć drutów, biegnących z różnych wysokości ukośnie ku ziemi.

Jest to telegraf bez drutu. Lecz i zwykły telegraf funkcyonuje. Wzdłuż drogi i przez pola biegną słupy. Są to pnie sosen jeszcze korą pokrytych. Dawne zniknęły, upiłowano je przy samej ziemi. To Rosyanie, cofając się, zniszczyli linię telegraficzną. Obecnie wkopano w ziemię nowe słupy, tuż przy kikutach, jakie pozostały po dawnych.

Wóz zaczyna kołysać się gwałtownie i podskakiwać. Wpadamy jakby w system dołów. Jazda jest uciążliwa, ledwie można posuwać się naprzód. Na szczęście drogę reperują pionierzy, zakładając wyrwy kamieniami i ziemią. Często wyboje zapełnia się gruzem z przydrożnych domów, walonych kilofami. Tak chałupa zamienia się w drogę.

Przejeżdżamy drewniany most na dość sporej rzeczce. Raczej chcemy go przejechać, lecz jest zatarasowany wozami i trzeba czekać, póki nie rozwikła się potrójny rząd furgonów. Dzieje się to wkrótce, i możemy ruszyć, dzięki temu, że jedziemy, nie idziemy piechotą. Dla pieszych most jest zamknięty. Opodal, gdzie bród, zresztą płytki, z wodą sięgającą po kostki, stoi gromada ludzi, którym żołnierze wskazują, że przez most przechodzić nie wolno. Po krótkim wahaniu, gromadka rusza w wodę i paru krokami przedostaje się na drugi brzeg, ku miasteczku.

Leży ono na stoku wzgórza. Domki są tak niskie, że do niektórych sieni wpływają strugi

błota. Chodników niema, i ludzie, aby przeprawić się od domu do domu czepiają się wozów, lub kładą przed sobą deski.

Opada lekka mgła. Wjeżdżamy do wsi zupełnie pustej. Chaty otoczone ogrodami, w nich pełno dziur. Nie łączą się w linię rowów strzeleckich, lecz każda wykopana oddzielnie, świeżo, wygląda jak grób, wszystko jak wielki cmentarz.

Przydrożne chałupy nie mają strzech. Słomę zdarli Rosyanie, biorąc ją na podściółkę do legowisk w rowach. Mieszkańców wypędzili.

Południe dawno minęło. Samochód pędzi całą szybkością. Okolice coraz bardziej pusta, zniknęły nawet słupy telegraficzne z nad drogi i tylko druty telefonu polnego ciągną się polami, od drzewa do drzewa, czasem wsparte na cienkich, pochyłych tyczkach. Wjechaliśmy w lasy liściaste, których listowie padło pod podmuchem zimy i gałęzie rysują się we mgle czarną splątaną koronką. Otoczyła nas białość, jakby mokry dym. Nagle zaczęło się coś na drodze. To wóz. Nie ustępuje mimo sygnału, zwolniliśmy więc biegu, aby nie najechać na opieszalego woźnicę.

Z białego tumanu wynurzyła się czarna trumna z krzyżem na wieku. Na trumnie siedział starzec, oczy jakby bielmem zasze, twarz wyłobiona labiryntem zmarszczek. W rękę trzymał

lejce, wiodąc chudą szkapę. Koń - szkielet, kościec obleczony skórą, posuwał się krok za krokiem. Kogo wiezie ten człowiek? Może znalazł zwłoki syna, może wnuka i oddaje go rodzinnej ziemi?

Mgła coraz gęstsza. Już o parę kroków nie widać. Mimo to samochód prawie nie zwolnił biegu, gdyż droga była dobra. Migwały czasem słupy wiorstowe niewyraźną sylwetą, czasem czerwone światelka ognisk, czasem jakieś błyski, jakby od bagnetu sterczącego na lufie, czasem ciemny zarys człowieka. Jechaliśmy w milczeniu, usiłując wzrokiem przebić białe opony. Głos dział, który od pewnego czasu dochodził z długiemi przerwami, potęgował się i przybliżał. Armaty huczały głucho.

— Ciężki kaliber... — rzucił krótko nasz przewodnik, nie odrywając się od wolantu.

Upłynęło kilka minut, może kwadrans. Nagle z mgły doleciał głos. Słowa wypadały oderwanie, szybko :

— Stanać! Stój!

Brzmiało to ostro, nakazująco. Zaskrzypiał hamulec, lecz wóz posuwał się dalej siłą rozpędu.

— Stać! Stać!

Samochód zatrzymał się powoli, sunąc jeszcze parę kroków. Ze mgły wynurzyła się sylweta konna.

— Co to za samochód? Dokąd?

Był to oficer na koniu. Przybliżył się do drzwiczek automobilu i zlustrowawszy jednym spojrzeniem załogę, składającą się z czterech osób, do rzucił:

— Ani kroku dalej! Możecie być ostrzeliwani.

Obecność nasza wzbudziła widocznie zdziwienie. Można to poznać nie tylko z tonu, jakim stawia oficer pytania, lecz i z zachowania się wart, które wynurzyły się z mgły, podchodząc do wozu.

— Legitymacye!

Wydostaliśmy papiery. Oficer przejrzał je uważnie i wręczając naszemu przewodnikowi, dodał:

— Dalej nie wolno. Jeszcze kilkadziesiąt kroków, a moglibyście znaleźć się w ogniu. Wczoraj padały tutaj granaty rosyjskie, na razie ogień ustał, ale może zacząć się lada chwila. Trzeba zawrócić.

Pertraktacye nie doprowadziły do żadnego rezultatu, wobec widocznej niemożliwości. Nawet do widniejącej niedaleko tylnej linii strzeleckiej pieszo posunąć się nie wolno. Natomiast przewodnik nasz musi dopełnić obowiązku zameldowania się u najwyższego komendanta posterunku.

Oczekiwaliśmy go w samochodzie, starając się wypatrzyć coś wśród mgły, zalegającej okolicę. Przez chwilę zdawało się, że szczęście zacznie nam nieco sprzyjać, gdyż tuman zrzedniał.

Ujrzeliśmy wtedy przy drodze domek, może szkołę wiejską. Przed drzwiami paru żołnierzy rąbało drzewo, opodał palił się ogień, z za węgła wysunął się mały oddział pionierów, posuwając się w zakazanym dla nas kierunku i zniknął w lesie, gdzie żółciły się świeże nasypy rowów strzeleckich.

Po chwili biała firanka zasunęła się jeszcze gęściej, wszystko zniknęło, tylko ognisko błyszczało czerwonym okiem i tuż przy samochodzie czerniły się sylwety wart, stojących nieruchomo z bagnetem na karabinie.

Długa chwila upłynęła w milczeniu. Nakoniec przewodnik nasz wrócił, chowając legitymacye w zanadrze. Meldunek był dokonany, sprawa wyjaśniona, wolno nam wrócić. Wóz zakręcił powoli na szerokim gościńcu; milcząca zamiana ukłonów i goście cywilni opuścili linię boju. Zdała dolatywał huk armat coraz silniejszym echem.

Z Jędrzejowa do Krakowa.

Zasadzki na samochód. — Przy obiedzie polowym. — Kinematograf wojny. — Do dworu. — Noc Sylwestrowa. — Ludzie i myśli. — Nadzieja. — W Krakowie.

Godzina była dość spóźniona. Mrok padał coraz gęściej, wkrótce zajaśniały we mgle oczy samochodu, dwa potężne reflektory rzuciły słup oślepiającego światła, aby przebić mgłę. Udało się im to tylko w części. Już na kilka kroków przed wozem zaczynał się biały tuman. Jechałiśmy jak w śmietanie. Trzeba było sunąć ostrożnie, nie nadużywać szybkości eleganckiego samochodu, bo na gładkiej pozornie szosie czyhają chytre zasadzki: wgłębienia, kamienie, wyboje, które przy szybszym pędzie mogą pogruchotać maszynie wszystkie żebra i załodze niejedno. Nieraz już wspaniały automobil powędrował stąd na sznurku do garażu — jak objaśnia właściciel samochodu, a zarazem nasz przewodnik i łaskawy „palacz“ tej pierwszej polskiej kwatery prasowej na placu boju, porucznik Henryk Uziębło. Było to w początkach wojny, gdy

sportsmeni wiedeńscy dali uwodzić się zachęcającym pozorom drogi i rozpuszczali po niej całym pędem swe wyścigowce. Korzystamy z ich smutnych doświadczeń i jedziemy *piano* i *sano*, aby zajechać *lontano*.

Ukazał się wreszcie Jędrzejów. Po naradzie wojennej postanawiamy zajechać do hotelu pani Grabowskiej. Zna go już nasz przewodnik, ma jak najlepsze wspomnienia z ostatniej nocy, spędzonej tam przed kilku tygodniami. Zajechaliśmy więc na rynek, kierując się, jak w dym, ku hotelowi. Przewodnik przeprowadził nas ku wejściu, z góry cieszących się na ciepły pokój i gorącą strawę, bo śniadanie wyczekiwało obiadu już z górą siedm godzin.

Niema hotelu. Powtórzyła się scena z cukiernią w Miechowie, zamienioną na pocztę polową. Na stolikach zamiast potraw, papiery i kałamarze, niema służby, niema gospodyni. Znaleźliśmy ją w dwóch pokoikach od podwórza, gdzie znalazła schronienie wraz z rodziną, odstąpiwszy wojsku lokal i mieszkanie.

Druga narada wojenna, wsparta na założeniu, że w ogromnej kuchni pali się pod blachą. Wyciągnęliśmy stąd konsekwencyę taktyczną, iż trzeba ugotować obiad polowy z przywiezionych przezornie zapasów. Intendant wyprawy rozpakował kufer: wyrzały kostki zupne, konserwy, herbata, cukier, zaszumiał składany „Primus“, wkrótce obiad był zredagowany i spożyty wśród

powszechnego pokłasku dla improwizowanej sztuki kucharskiej. Przy herbacie potoczyła się rozmowa z Jędrzejowianami.

Miasteczko przeszło to, co wszystkie: marsze, przemarsze, wymarsze i rekwizycye. Od strzałów samo nie ucierpiało, ale ludzie wędrowali do piwnic nie raz jeden. Teraz w sklepach niema towaru, zapasów żywności niewiele, żyje się z dnia na dzień. Odejście wojsk rosyjskich dało się dobrze we znaki. Porabowane towary sprzedawano na rynku po groteskowych cenach.

Kozacy przybywszy, opowiadali zrazu, że Kraków będzie zdobyty lada dzień. Później przestali zapowiedzi, a jeden, zapytany, czy rychło ma nadzieję dojść pod Sukiennice, odpowiedział:

— Wy myślicie, że z Krakowem tak łatwo? Hej... tam ziemia wylatuje w górę, tam są druty, które parzą i wykręcają ręce, tam woda zalewa grunt, tam ludzie wpadają w doły naszpikowane bagnietami...

Fantazya zaprowadziła kozaka już pod twierdę, od której wojska rosyjskie były jak wiadomo, daleko i kazała mu przeżywać oblężenie, którego nie było. Widać stąd, że fortyfikacye krakowskie mają dobrą opinię.

Rosyanie, jak nam opowiadano później w innym miejscu, byli zwłaszcza w żywność niedobrze zaopatrzeni. Nie mogli furazę dociągnąć na front, zakopywali całe wozy prowiantów po dro-

dze. W Iwangrodzie stały wagony z kozuszkami dla żołnierzy, nie mogąc ruszyć się z miejsca, a tymczasem piechota marzła w okopach. Jednego dnia miało zmarznąć na śmierć sześćdziesięciu ludzi.

Czas pożegnać się z Jędrzejowem. Rzucamy okiem na rynek, zastawiony wozami i furgonami. Paliło się kilka lamp elektrycznych, gdyż światło, zniszczone przez Rosyan przy odrocie, znów działa. Jedną oświeca szyld: „Kinematograf Urania“. Miasteczko cieszyło się tą rozrywką dawniej, teraz z filmów ani śladu, Jędrzejów jest sam ekranem, na którym ukazują się obrazy wojny, stokroć straszliwsze od zdjęć najbardziej fantastycznych.

Mgła zaczęła opadać, ruszyliśmy dalej wśród wymarłych wsi, pustką wymowniejszą, niż gruzy. Samochód pochłonał kilkanaście kilometrów, gdy zabłyśły światelka. Towarzysz mój przypomniał:

— Tu trzeba wstąpić. Złożymy życzenia profesorowi Rutkowskiemu.

Chirurg nasz, wraz ze swą „grupą“ pielęgniarzek i sanitariuszy otrzymał siedzibę w domostwie o drabiniastych schodach, pełnem rannych. Pracuje jak zwykle bez wytchnienia. Potoczyła się krótka rozmowa, pełna wspomnień o Krakowie i dociekań na temat zmian, jakie niesie nam ta straszna wojna.

Staliśmy w korytarzu, oświetlonym lampką naftową i promieniem światła, padającym z drzwi

pokoju, gdzie krzątały się pielęgniarki krakowskie około stołu operacyjnego. Profesor Rutkowski zjeździł już spory szmat ziemi polskiej, niosąc pomoc nieszczęśliwym. Tutaj bawi od dni paru. Jak długo zostanie? Niewiadomo. Co chwila może przyjść rozkaz posunięcia się naprzód, bliżej linii bojowej, albo przewiezienia całego szpitala w lepsze miejsce. Trzeba będzie instalować się na nowo, spakowywać i rozpakowywać, konieczność nie zna przeszkód.

Ostatnie pożegnania, uściski dłoni. Prawda, dzisiaj wieczór Noworoczny! Zawracamy raz jeszcze, aby wymienić życzenia.

— Wszystkiego najlepszego wszystkim! Oby rok następny...!

W ten Nowy Rok życzeń kończyć nie trzeba. Wszyscy pragniemy jednego, wszyscy o jednym tylko myślimy i tego życzymy sobie nawzajem. Żadne słowo nie wyrazi tego, co mieści się w jednym uścisku dłoni.

Znikło za nami domostwo - szpital. Ostatnim obrazem, jaki zachowaliśmy w oczach, były światełka latarek elektrycznych, chwiejące się jak błędne ogniki nad błotem, istotnie niewiarygodnym. To polskie panie, dziś pielęgniarki, szukały sobie przejścia przez tę bezdeń chlapiawicy, idąc na spoczynek do kwater, na spoczynek po ofiarnej pracy. Potem znów ciemność,

szum motoru, od czasu do czasu ogniska obozujących furgonów, tajemnicze kształty samochodowych dział, które nocują na drodze, śpiąc pod pokrowcami, krwawe pochodnie przy moście, naprawianym przez saperów.

— To tutaj! — rzuca krótko nasz przewodnik.

W ciemności majaceje figura przydrożna. Nieco bliżej widać zarysy chałupy. Tu mamy umieścić samochód, aby piechotą dostać się do dworu. Pełpiech niezbędny, bo wkrótce uderzy północ. Zaczęła się praca nad wprowadzeniemautomobilu pod dach.

Epizod ten zasługiwałby na zaszczyt długiego opisu. Wśród jednorocznych ochotników, pracujących w szeregach na rangę oficerską, krążył swego czasu podczas ćwiczeń odwieczny koncept, że „łatwiej odkryć biegun północny, niż przeprowadzić przez rów pluton piechoty“. Ale łatwiej i tego dokonać, niż zmusić samochód do przeniesienia się przez taki sam rów w bezpieczne schronienie. Maszyna tak inteligentna, czuła na każde dotknięcie, staje się w takich chwilach jakimś tworem historycznym, niedotykalnym, upartym do nieprawdopodobieństwa. Wydaje się, że lada chwila stanie dęba i zacznie wierzcąc tylnymi kołami. Tak jest i teraz. Motor skarży się żałośnem wyciem, które idzie echami po lesie, przednie koła obracają się nerwowo w błocie i ustają. Po paru bezskutecznych próbach chciałoby się szlachetny wehikuł potraktować jak upartego osła i pociągnąć za

ogon, aby poszedł naprzód. Podpieramy go wszyscy, niemal przemawiamy, to pieszczośliwie, to groźnie — nie nie pomaga.

— Przynieść deski!

Chłopi rzucają w rów dwa kawały płotu. Nowy rozpęd z gościńca. Trzask i wycie dochodzi do najwyższego nateżenia, samochód parska i rży... Jeszcze jeden wysilek, jeszcze jedno zakręcenie wolantu... Dalej! Na lewo! Hoooop!!!

Brzeg przeciwny osiągnięty. Szopa otwarła gościnnie podwoje. Otulamy motor derkami, jak rasowego wyścigowca po biegu, gasną latarnie, możemy zebrać rzeczy złożone na gościńcu i ruszyć ku dworowi. Karawana dzwignęła się powoli ku górze. Wyciągając nogi z rozmiękłej gleby, wydrapując się bardzo powoli na wzgórk, aby z bardzo nieoczekiwaną chyżością zjeżdżać następnie do parowów, dotarliśmy wreszcie do miejsca, z którego widać było światelka we dworze pp. Morawskich.

Przyjęto nas z tą gościnnością, po której poznaje się sadybę polską na każdym skrawku ziem naszych. A gdy północ uderzyła, zabłysnął w kieliszkach młód pradziadowski i tręciliśmy się w koło, bez słów, ale złączeni jedną myślą. Obiegła ona w tej chwili wszystkie krańce świata, gdzie znajduje się choć jeden Polak, przeleciała jak depeza iskrowa polami bitew, dotarła za Ocean. Da Bóg będzie lepiej!

Powrót.

Szybko upłynął czas we dworze polskim, wśród rozmowy między Królewiami, a Galicyanami. Mianocice należą do tych wsi, w których dziedzie pozostał na stanowisku, mimo ciężkich przejść jakie niesie z sobą wojna. Tak jest przeważnie w Kieleckiem. Obywatelstwo nie ruszyło się z miejsca, dzieli z krajem wszystko, co przyjdzie. Przemarsze wojsk dały się dworom we znaki, nieraz jednemi wrotami wyjeżdżali w popłochu Rosyanie, podczas gdy przez drugie wpadały patrole austriackie lub niemieckie; nieraz zagłada rekwizycya do obór, stodół i stajni, ale wytrwać trzeba. Duch obywatelski krzepi naszych ziemian, czasem w rozmowie zabłyśnie nawet ten dawny humor szlachecki, którego nie zniszczą do cna i najcięższe tarapaty.

Jednego tylko nie ma, jedno znikło bezpowrotnie: nasze grzeszne „Jakoś to będzie!“. Ustąpiło miejsca poważnej myśli, rachubie, nadziejom wspartym na rozumie i na poczuciu siły odrod-

czej narodu. Wierzą w siebie, wierzą w niezdarte niczem siły chłopów, wierzą, że kiedyś wszystko da się odbudować. Taka wiara, to połowa pracy już dokonana.

Ale wszyscy wiedzą, jak trudnem to będzie, i jak olbrzymie czeka Polskę zadanie. Straszna jest groza zniszczenia, jaką widzieliśmy po drodze — jeszcze straszniej brzmi to, co opowiadają naoczni świadkowie. Głód zagląda w oczy. Jeszcze jakiś czas, a w tym pasie Królestwa może pozostać chyba ziemia i woda ze wszystkiego co było. Myśl o tem zasępia twarze i wstrzymuje bicie serca, póki jej nie przepędzi wiara, że musimy wydobyć się z tej toni. Prze-trwamy!

Z tem uczuciem zegnaliśmy dwór w Mianocicach.

Nawet gdy ma się w porządku wszystkie glejty i przepustki, powrót do Krakowa może być o wiele trudniejszym niż wyjazd. Przekonaliśmy się o tem na trzecim może kilometrze za Mianocicami, gdy motor zaczął kaprysić coraz bardziej.

Nawet laicy mogą rozpoznać, że zbliża się taka chwila złośliwej fantazyi, gdy wsłuchają się w rytm, jakim maszyna skanduje swe meldunki o każdym przebytym kroku. Gdy samochód jest w dobrem zdrowiu i humorze, recytuje swą opowieść jasno i dobitnie, jak sprawny żołnierz przy raporcie. Gdy czuje jaką dolegliwość, albo gdy ją złośliwie udaje, zaczyna mamrotać, jękać

się, gada coraz ciszej i nakoniec milknie. Tak było z naszym wehikulem. Trzeba było schodzić oglądać, łaskotać dłutkami kółka i tryby z uwagą chirurga a delikatnością pielęgniarce. Pomagało to na parę kilometrów. Potem zaczynało się *ab ovo*. O powrocie na czas oznaczony nie było mowy, widzieliśmy to coraz jaśniej.

W Słownikach odbyło się nad chorym *consilium facultatis*. Trwało trzy godziny i wydało jzdnomyślne orzeczenie: *non liquet* czy dojedziemy do Krakowa, bo *casus* jest tajemniczy, słabość nurtuje kędyś w głębi organizmu i bardzo jest prawdopodobne, że parę kilometrów wystarczy aby motor zachorował obłożnie. Wówczas przyjdzie czekać zmiłowania na szosie, aż zjawi się jakiś samochód i na sznurku poholuje „trupa“ wraz z załogą.

Przymrozek i wiatr mało zachęcały do nocowania na szosie, ale nie było wyboru. Ruszyliśmy i fortuna nagrodziła męstwo. Po kilkuset krokach motor rozgadał się jak w najlepszym zdrowiu. Pomknęliśmy z największą szybkością.

I znowu zaczęły migać poburzone chaty, zwłoki końskie, samotne posterunki i obozowiska furgonów. Przelatywaliśmy powtórnie ten kraj tak piękny i żyzny jeszcze nie dawno, tak dzisiaj ponury zniszczeniem. Z prawdziwą ulgą powitaliśmy z ostatniego przed Krakowem wzgórzka światła i światełka, oznaki życia. Pierzchały

przed niem powoli tragiczne obrazy i jeszcze tragiczniejsze myśli o jutrze. Pozostała wiara, że mimo klęski jakiej nigdy chyba nie było, mimo że w oczach niszczeje praca pokoleń, mimo to wszystko, musimy przetrwać i przetrwamy.
